



fabryka słów®
WYDAWNICTWO



ADAM PRZECHRZTA

**DEMONY
ZEMSTY
АВАКУМОВ**

Spis treści

Karta tytułowa

Cykl Wojenny Adama Przechrzty

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Zwroty i ciekawostki

Karta redakcyjna

Okładka

ADAM PRZECHRZTA



DEMONY ZEMSTY ABAKUMOW

Ilustracje
Paweł Zaręba

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

Cykl Wojenny Adama Przechrzty

1. Demony Leningradu
2. Demony wojny, cz. 1
3. Demony wojny, cz. 2
4. Demony czasu pokoju
5. Demony zemsty. Abakumow

Poświęcam Arturowi

Rozdział pierwszy



Poliakow uniósł dłoń i zastygł w bezruchu, obserwując sekundnik zegarka. Mimo swoich rozmiarów lotniczy schaffhausen, jeden z tych, co to pokazują nawet kwadry księżyca, na masywnym łąpsku generała wyglądał jak dziecięca zabawka. Podarowałem mu go niedawno, na urodziny. Czasomierz robił wrażenie, u nas takiego nie kupisz, mimo że był – dosłownie! – z drugiej ręki. Jego poprzedni właściciel, pewien oberst o arystokratycznym rodowodzie, spał snem wiecznym w zbiorowej mogile pod Stalingradem.

– Uwaga! – zawołał Poliakow.

Sylwetkę oficera natychmiast oświetliły wypożyczone z pobliskiego teatru reflektory.

– *Pli!* – krzyknął.

Strzeliły korki, trysnęły w górę strugi szampana. Zakląłem cicho, obsypany płatkami konfetti przez jednego z rozochoconych biesiadników.

– *S Nowym Godom!*

Podniosłem się niechętnie i z wymuszonym uśmiechem – ostatnio nie miałem zbyt wielu powodów do radości – spełniłem toast. Mimo wszystko miałem nadzieję, że nowy, tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty pierwszy rok będzie dla mnie łaskawszy od poprzedniego. Po chwili otoczyli mnie przyjaciele i podwładni: Maksimow, Dima Bugrowski, Katia Romanienko, Starcew...

Wymieniałem uściski i życzenia z ludźmi, którzy nie raz i nie dwa ratowali mi skórę, czułem na policzku delikatne muśnięcia kobiecych warg, jednak wewnętrzny chłód nie znikał. Byłem wśród swoich, bezpieczny, a mimo to nie potrafiłem dzielić z innymi świątecznego nastroju.

– Trzymaj!

Poliakow przedarł się przez tłum i energicznym gestem wręczył mi szklankę wódki.

– Szczęśliwego Nowego Roku! – powiedział cicho. – *Nie grusti!*

Przymknąłem oczy, pociągnąłem długi łyk. Chłodna struga obmyła moje gardło, eksplodowała ogniem w żołądku. Moskowskaja.

– Wzajemnie – mruknąłem.

Poliakow klepnął mnie pocieszająco po ramieniu i zanurkował w ciżbę. Nic dziwnego, miał na głowie nie tylko pułkownika Razumowskiego, ale całą Moskwę, włączając w to MUR. A kierowanie *Moskowskim Ugołownym Rozyskom* to nie synekura. Już dwa lata minęły, kiedy Szołkin przeszedł do pracy w aparacie partii, zwalniając tym samym stanowisko naczelnika moskiewskiej milicji, co zaowocowało serią awansów, w tym generalską gwiazdą dla Poliakowa. Od tej pory „Polak” pełnił oficjalnie funkcję szeryfa miasta Moskwy, z przysługującą temu stanowisku rangą generał-majora, czy używając obowiązującej nomenklatury – komisarza milicji trzeciej rangi.

Niespodziewanie ktoś wziął mnie pod rękę, poczułem zapach kobiecych perfum i lekki, niemal nieuchwytny aromat szampana. Dużo lepszego szampana niż ten, który podawano na sali. Nieznajoma mogła mieć trzydzieści, góra trzydzieści pięć lat, czerwona jak wino krepdeszynowa suknia nie kryła apetycznych krągłości, a lekko skośne brązowe oczy patrzyły figlarnie spod przymrużonych powiek. Zebrane w kok jasne włosy podtrzymywała szylkretowa zapinka.

– Napije się pan ze mną, pułkowniku? – spytała, podając mi kieliszek.

– A wy, towarzyszeko, z jakiego wydziału? – odparłem i skosztowałem trunku.

Miałem rację, to nie było wino z bąbelkami sprzedawane klasie robotniczej pod dumną nazwą szampana, ale prawdziwy Veuve Clicquot.

– Mam na imię Irina – przedstawiła się, podając mi dłoń. – Możecie mi mówić Ira. Jestem tu nowa, na razie się rozglądam – dodała z udawaną powagą.

Roześmiałem się mimo woli, a to kokietka! Żeby dostać się do MUR-u, trzeba było posiadać odpowiednie wykształcenie, rekomendację organizacji partyjnej i załatwić sto innych formalności. I nikomu nie pozwalano „się rozglądać”, każdy otrzymywał konkretny, ściśle określony przydział.

– Jesteście córką... – zawiesiłem głos, wymownie pokazując palcem

w górę.

– Nieślubną – szepnęła mi w ucho. – To co? Do dna?

– Do dna!

Zadźwięczało trącone szkło, wypiliśmy, po czym Ira pocałowała mnie pachnącymi szampanem wargami.

– Szczęśliwego Nowego Roku – powiedziała z dziwną powagą.

Chciałem o coś zapytać, może poprosić o adres, ale dziewczyna zniknęła już w kłębiącym się wokół tłumie. Wyciągnąłem rękę, żeby złapać ją za ramię, lecz w tym samym momencie napotkałem wzrok Lizy Wierchońskiej. Choć Liza była moją podwładną – już ponad rok kierowałem wydziałem śledczym MUR-u, rozmawialiśmy tylko w sytuacji absolutnej konieczności. Kilka miesięcy temu rzuciła mnie dla znanego poety Sawy Galicza. Zastanawiałem się nawet, kiedy ostatecznie zrezygnuje z munduru. Mieszkała teraz w luksusowym domu przeznaczonym dla partyjnych bonzów, niedaleko Arbatu, a do pracy przywoził ją szofer.

Zacząłem się odwracać, wtedy Liza uniosła dłoń, więc zatrzymałem się w pół ruchu. Co by nie mówić o major Wierchońskiej, nigdy nie zawracała mi głowy babskimi fanaberiami. Czyżby coś się stało? Tylko co? Toż mamy Nowy Rok. Na straży prawa i porządku stoi grupka starannie wyselekcjonowanych nieszczęśników, którzy podpadli czymś mnie albo Poliakowowi. Reszta może się bawić...

– Saszka, musimy porozmawiać – oznajmiła z wyraźnym zakłopotaniem.

– Słucham – westchnąłem, szukając wzrokiem Iriny.

Przez moment wydało mi się, że dostrzegam ją przy wyjściu, ale niby dlaczego miałyby rezygnować z zabawy, zanim ta rozkręciła się na dobre? Nie podano nawet jeszcze głównego dania, a kuchnia MUR-u budziła zazdrość innych resortów. Nasze prawo należy do najbardziej restrykcyjnych na świecie, nietrudno się potknąć, a wówczas wyrozumiałość milicji jest na wagę złota. Stąd niejeden miał powód, aby się nam odwdzińczyć, w tym i dysponenci produktów przeznaczonych dla partyjnej elity czy szefowie restauracji. Taaak, nie ulegało wątpliwości, że wyżerka będzie przednia.

– Chcą cię w coś wrobić – powiedziała, nie patrząc mi w oczy. – To poważna sprawa, szukają osób, które świadczyłyby przeciw tobie. Czort wie, do czego się posuną, jeśli im nie wyjdzie.

– Co znowu?! – odburknąłem. – Kto chce mnie zrobić?

– Nie wiem – odparła krótko.

Zmarszczyłem brwi: w tonie Lizy było coś, co sugerowało, że dziewczyna nie mówi mi wszystkiego. Co więcej, jej głos podszyty był nutą niepokoju, a może słabości? A major Wierchońska nie należała do płochliwych.

– Skąd ta informacja?

– Nie wie... Nie mogę powiedzieć.

– Więc co mi to da? – spytałem gorzko. – To ostrzeżenie? Nawet jeśli to prawda, bo przecież zdaję sobie sprawę, że wielu chętnie zobaczyłoby, jak gryzę ziemię, jak mam się bronić przed nie wiadomo kim?

Liza zagryzła wargi, coś błysnęło na jej policzku, ale potrząsnęła uparcie głową.

– Przepraszam – szepnęła.

Zanim zdążyłem zareagować, odwróciła się i odeszła. Ech, coś nie miałem dzisiaj szczęścia do kobiet...

– *Komandir!* – zawołał od stolika Bugrowski. – Zapraszamy!

Cóż było robić? Przysiadłem się i sięgnąłem po podsunięty kieliszek wódki, zakąsiłem plasterkiem znakomitej szynki. Kelnerzy uwijali się już po sali, lawirując pomiędzy zwisającymi z sufitu serpentynami.

Dima popatrzył na mnie z troską, po czym dolał alkoholu. Mało co umykało poecie Bugrowskiemu, na pewno zauważył, że zamiast bawić się jak inni, siedzę niczym na pogrzebie. Kto inny zaproponowałby pomoc albo chociaż wyraził współczucie, ale Dima znał mnie zbyt dobrze, aby zrobić coś takiego. Kiedyś Poliakow opowiedział mi o specyficznej kaście wśród więźniów, ludziach, których nazywano *odin na ldinie*. Ci nie bratali się ani z bandytami, ani z „frajerami”, nie współpracowali też z administracją. Samotni w tłumie. Jak ja: sam na krze...

Wychyliłem kolejny kieliszek, zaszumiało mi w głowie. Czyżbym tracił odporność na stare lata? Bo przecież wypilem tyle co nic.

– Zjedz coś, Saszka – powiedziała Katia Romanienko. – To zalecenie lekarza.

Kapitan Starcew rzucił dowcip na temat pacjentów Katii – panna Romanienko była medykiem sądowym – za co oberwał łokciem pod żebro i dziewczyna zarekwirowała mu szklanę z wódką. Odpowiedziałem zmęczonym uśmiechem i posłusznie nałożyłem na

talerz kawałek wędzonej kiełbasy. O dziwo, nie odczuwałem apetytu, choć jeszcze godzinę temu ślina mi ciekła na samą myśl o jedzeniu.

– Nie masz czasem gorączki? – spytała Katia zaniepokojona.

Dotknęła mojego czoła, po czym zmarszczyła brwi w wyrazie niezdecydowania.

– Temperatura niby normalna, ale wyglądasz niewyraźnie. Może się przeziębilesz?

– Wódeczki? – zaproponował dziarsko Starcew.

Nie czekając na odpowiedź, nalał mi pokaźną porcję. Do szklanki.

– Pewnie nie zaszkodzi – mruknąłem bez entuzjazmu.

Zaczynało mnie łupać w skroniach. Migrena czy co? A może to kwestia wieku? Było nie było, przekroczyłem czterdziestkę...

Opróżniłem szkło dwoma haustami, zagryzłem kiełbasą. Wędlina była znakomita, widać, że nie szykowano jej dla zwykłych śmiertelników, wódka też niczego sobie, lecz znienacka dopadła mnie jakaś słabość, poczułem, że brakuje mi tchu. Ki diabeł? Toż nie jestem jeszcze dychawicznym staruszkiem.

Nieoczekiwanie Dima Bugrowski poderwał się z krzesła, a na jego miejscu usiadł Poliakow. Wystarczył dyskretny gest generała i w chwilę później zostaliśmy sami.

– Nie wzięłbyś miesiąca albo dwóch urlopu? – zapytał.

Parsknąłem śmiechem; przez ostatnie trzy lata wykorzystałem może z tydzień wolnego, bo zawsze było coś do załatwienia. I nic dziwnego, pracownicy MUR-u rozwiązywali najtrudniejsze, najbardziej skomplikowane sprawy, z jakimi nie mogli poradzić sobie zwykli milicjanci. W wydziale śledczym o urlopach mówiono tak często jak o krasnoludkach – oba pojęcia były równie abstrakcyjne.

– To jakiś dowcip?

– Nie – odparł ponuro Poliakow. – Mam... prośbę. To sprawa osobista, dlatego najlepiej byłoby załatwić ją nieoficjalnie.

– No, gadaj! – ponagliłem. – O co chodzi?

Zamiast odpowiedzieć, generał bezceremonialnie zgarnął moją szklankę, napełnił, po czym wychylił duszkiem. Na jego czole ukazały się krople potu. Wiedziałem, ile potrafił wypić, więc rzecz nie w alkoholu, postrach moskiewskich bandytów był zdenerwowany. Kurewsko zdenerwowany.

– To musi zostać między nami – zastrzegł.

– Mam ci dać słowo komunisty? – burknąłem zniecierpliwiony.

– Przepraszam – wymamrotał. – Ja... – Machnął z rezygnacją ręką, o mało nie strącając talerza. – Mam córkę – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Nikt o tym nie wie, jej matka zmarła w trzydziestym ósmym. Nie mogłem się nią zajmować, miałem wtedy zbyt wielu wrogów i każdy z nich z przyjemnością wykorzystałby Adę przeciwko mnie. O ile nie gorzej...

Skinąłem głową ze zrozumieniem. Pamiętałem czasy, kiedy mój przyjaciel walczył z moskiewskimi generałami. Dawno minione czasy. Teraz wrogowie „Polaka” spoczywali na kilku okolicznych cmentarzach, prawda, że prestiżowych.

– Dlatego wylądowała w domu dziecka – kontynuował. – Zatrzaszczyłem się, żeby nie w pierwszym lepszym, ale mogłem ją tylko obserwować z daleka.

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia trzy. I jest świeżo upieczonym podporucznikiem milicji.

– Żartujesz!

– Nie.

– Chcesz, żebym ją wziął do siebie?

– To bardzo kuszące, ale Ada dostała przydział na prowincję. Listwianka to niewielka miejscowość niedaleko Irkucka – dodał wyjaśniająco. – Jeśli ściągnę ją do Moskwy, od razu wzbudzi zainteresowanie, a tego wolałbym uniknąć. Teraz panuję nad sytuacją, ale trudno przewidzieć, co będzie za rok czy dwa. Nadchodzą ciężkie czasy.

Mruknąłem potakująco. Ostatnio zdrowie towarzysza Stalina coraz bardziej szwankowało i dla nikogo nie było tajemnicą, że jego dni są policzone. Jak nie dziś, to jutro, jak nie za rok, to za dwa. A Rosja to nie Zachód, tu władzy nie bierze się po demokratycznym głosowaniu, ale wyrывa ją z zaciśniętych rąk martwych konkurentów. Partyjne wilki od dawna szykowały się do ostatecznej rozgrywki i chociaż nikt nie mógł przewidzieć, kto wygra, jedno było pewne – poleje się krew. Nie najlepszy czas dla młodej dziewczuszki. Tym bardziej że i ja, i Poliakow wybraliśmy już stronę. Jeśli przegramy, nikt nie okaże nam litości.

– No dobrze, więc czego chcesz? – spytałem.

– Wiesz, że kobiety na stanowiskach operacyjnych to nadal rzadkość?

– Uhm.

- A ona wyraźnie chce iść tą drogą.
- No dobrze, ale skoro Listwianka to taka wiocha, co może jej grozić? Od czasu do czasu zapuszkuje jakiegoś pijaczka albo złapie złodzieja damskich majtek i tyle. – Wzruszyłem ramionami.
- Niby tak, ale... – Poliakow skrzywił się, jakby rozgryzł cytrynę. Ponagliłem go niecierpliwym gestem.
- Widzisz, tam nie zawsze było tak spokojnie. Kiedy dowiedziałem się, że Ada ma kierować miejscowym komisariatem, przetrząsnąłem archiwa i wypłynęła pewna bardzo nieprzyjemna sprawa. Dziesięć lat temu w Listwiance zaczęły ginąć dzieci. Najpierw trójka w odstępie kilku miesięcy, później, po paru latach, jeszcze dwoje. Być może więcej, bo nie miałem czasu grzebać w papierach, a wiesz, że takie sprawy często zamiata się pod dywan. Dochodzenie prowadzili śledczy z obwodu, ale niczego nie wykryli. Żadnych śladów, zwłok, nic.
- I co?
- Sprawę zamknięto, a niedawno znowu zniknęło dziecko. Co prawda dwóch wędkarzy widziało unoszone prądem Angary ciało, ale obaj byli pijani w sztok. Zresztą gdyby nawet mieli rację, niekoniecznie był to zaginiony dzieciak. Od Listwianki do Angary kawałek drogi, a Wowa Mikulin miał tylko osiem lat.
- Mógł złapać jakiś samochód albo furę. W tej dziczy ludzie są pewnie dużo bardziej uczynni niż w Moskwie. A jeśli chłopaczek wbił sobie coś w głowę...
- Wiem! Teoretycznie możesz mieć rację – przerwał mi Poliakow. – Teoretycznie. Tylko że coś mi tu śmierdzi, za dużo zbiegów okoliczności. Sam wiesz, jak jest.
- Wiedziałem. W naszym szczęśliwym państwie seryjne morderstwa się nie zdarzały. Nie miały prawa – tak mówił partyjny dogmat. Podobne zbrodnie mogły występować jedynie w zgniłym kapitalizmie, ale nie u nas. Nie i już. Milicjant, który ośmieliłby się zameldować przełożonym o działającym latami maniak-zabójcy, miałby szczęście, gdyby tylko zerwano z niego pagony. Bo były i inne opcje.
- To jeszcze nie wszystko – westchnął Poliakow. – Trzydzieści kilometrów od Listwianki znajduje się kopalnia „Czerwony Sztandar”. Podobno ktoś kradnie część urobku. Donosy dotarły gdzie trzeba i na dniach zwali się tam ekipa z GB.

Uniosłem brwi, mój przyjaciel użył skrótu nazwy

Gosudarstwiennaja Biezopasnost', powszechnie stosowanego przez milicjantów chcących zdystansować się od typowo bezpieczniejszej działalności MGB, kilka lat temu milicję przekazano z MSW do Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego.

– Złoto? – rzuciłem domyślnie.

– Przecież nie węgiel! Do tego ta idiotka nie potrafi siedzieć cicho i zawsze coś wywinie. Już raz mało nie wylądowała na zonie.

– A to w jaki sposób?

– W akademii rozdano im akta starych, niewyjaśnionych spraw: morderstwa, gwałty, kradzież mienia państwowego. Same poważne. No więc postanowiła się wyróżnić, głupia koza...

– Kto okazał się sprawcą? – spytałem.

– Sekretarz *rajkomu*.

– Partia czy Komsomoł?

– Partia. Poszłaby za druty, bo gnojek wezwał na pomoc jakiegoś kumpla z *gebe*, ale obiecała, że jeśli pozwoli jej dokonać rewizji, znajdzie dowody winy pana sekretarza w pięć minut. I znalazła. A świadków nie brakowało, więc sam *gebesznik* aresztował kuma...

– Znaczy uzdolniona?

– Niezupełnie. Ona jest... szczególna. Wiesz, co to synestezja?

– Pierwsze słyszę.

– Niektórzy ludzie odbierają rzeczywistość w specyficzny sposób, dotyczy to głównie artystów, choć nie tylko. Potrafią widzieć barwę dźwięków albo na przykład czuć chłód, słysząc konkretne nuty. Niektórzy uważają to za chorobę, inni twierdzą, że to dar. Nieważne. Grunt, że Ada zawsze wie, kiedy ktoś kłamie. Nie można jej oszukać w żaden sposób.

Uniosłem brwi, ale nie skomentowałem, bo i o czym tu gadać? Mało to dziwnych rzeczy na świecie? Teraz zrozumiałem niepokój przyjaciela: taka córka to prawdziwy dopust boży. Uczciwa, bezkompromisowa i przekonana o swoich talentach, na pewno nie cofnie się przed niczym, a jeśli wejdzie w drogę poważnym ludziom, widzenie dźwięków jej nie pomoże. Bo ani złodzieje złota, ani morderca dzieci nie będą mieli nic do stracenia.

– Rozumiem, że urlop mam spędzić na Syberii? – powiedziałem z rezygnacją.

– Nie narzekaj – odparł weselszym tonem Poliakov. – Dostaniesz delegację i zwrot kosztów za przejazd.

– Dzięki wielkie – mruknąłem. – A za ciepłe gacie też mi zwrócisz?

Jaka tam teraz temperatura? Minus dwadzieścia?

– Nie marudź. Coś taki skwaszony? Widziałem, że gawędziłeś z Lizą. Jeszcze ci nie przeszło?

– Nie w tym rzecz. No a przynajmniej nie tylko. Towarzyszka Wierchońska była uprzejma ostrzec mnie po starej znajomości.

– Tak?

Zrelacjonowałem krótko moją rozmowę z byłą kochanką. Poliakow słuchał uważnie, na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, jednak w oczach pojawił się niepokój.

– Co o tym sądzisz? Może powinienem jeszcze raz z nią pogadać?

– To nic nie da. – Pokręcił głową. – Gdyby chciała lub mogła powiedzieć więcej, na pewno by to zrobiła. Zresztą dziś i tak jej nie złapiesz, wyszła, jak tylko skończyliście rozmawiać.

– Co się dzieje z tymi dziewczuchami?! – wybuchnąłem. – Najpierw jedna uciekła, ledwo wypła ze mną szampana, teraz druga. A w ogóle gdzie skierowali tę nową?

– Jaką, do licha, nową?

– No, tę Irinę czy jak jej tam?

– A, tę.

Generał rozlał wódkę, tym razem do kieliszków, poluźnił kołnierzyk.

– Mówią, że to jakaś krewna Fazilowa, wiesz, tego z Komitetu Centralnego. No i wcisnęli ją nam w ramach akcji „Młodzież wzmacnia szeregi milicji”. Jeszcze trochę takiego wzmacniania i nie będzie komu łapać bandytów. Wypijmy! – rzucił. – Za prawdziwych milicjantów! Do dna!

Wypiliśmy. Jęknąłem, czując przeraźliwy ból w podbrzuszu, szkło wypadło mi ze zdrtwiałych nagle palców.

– Saszka! Co ci jest? Saszka!

– W porządku, to tylko jakieś nerwobóle – odparłem uspokajająco. – Nieszczególnie się dzisiaj czuję.

– Widzisz? – ożywił się Poliakow. – Przyda ci się ten urlop. A w ramach bonusu obiecuję, że panienkę Rodionową oddam kadrowcom, zamiast przydzielić do twojego wydziału.

– Bo ja wiem? Dziewczyna inteligentna, niebrzydka – odparłem z udanym wahaniem w głosie.

– Niebrzydka? Masz gorączkę? Ale na pewno skromna, bo kiedy z nią rozmawiałem, ukryła inteligencję. Głęboko.

– O czym ty mówisz? Przecież z nią gadałem. Ślicznotka jakich

mało.

Poliakow popatrzył na mnie z politowaniem, po czym wstał od stołu.

– Poczekaj tu na mnie – polecił.

Po chwili wrócił, prowadząc pod rękę potężną, niezgrabną dziewczynę.

– Poznajcie się – powiedział. – Irina Rodionowa, pułkownik Razumowski.

Odruchowo ucisnąłem tłustą, serdelkowatą dłoń, próbując otrząsnąć się z zaskoczenia. Prostacka, nalana twarz dziewczyny w niczym nie przypominała rysów kobiety, która poczęstowała mnie szampanem. Sukienki ozdobionej idiotycznym wzorkiem w jodełki na pewno nie kupiono w Moskwie, a jasne, spryskane grubo lakierem włosy panny Rodionowej ułożono w coś, co przypominało kupę siana.

– To nie ona! – powiedziałem stanowczo. – Albo jest jeszcze jedna Irina, albo...

Kolejny spazm bólu zmusił mnie do zgięcia się wpół, z oszołomieniem popatrzyłem na plamiące śnieżnobiałe obrus czerwone krople.

– W tym szampanie... Szampan! – wycharczałem, czepiając się stolika.

Kątem oka widziałem, jak Poliakow odrzucił dziewczynę, po czym jednym szarpnięciem postawił mnie na nogi.

– Saszka! To trucizna? Saszka!

Przytaknąłem słabo, nie mogłem mówić, wyschnięty na wiór język przypominał drewniany kołek. Niespodziewanie pięść Poliakowa uderzyła mnie w brzuch z siłą i szybkością nadjeżdżającego ekspresu. Odpłynąłem w ciemność.



Głosy unosiły się i opadały, nie mogłem zrozumieć słów, czasem wyłapywałem jakąś obco brzmiącą frazę: *haematemesis*, *epistaxis*, *insufficientia cordis*. Spróbowałem otworzyć oczy, ale powieki nawet nie drgnęły, jakby zalano je ołowiem. Powoli, z wysiłkiem przetoczyłem głowę po poduszce, najpierw w lewo, później w prawo. Pot zrosił mi czoło, a skronie przeszła błyskawica bólu. W chwilę później zaczęły do mnie dochodzić zapachy: jodoform, formalina,

kamfora. Szpital. Jestem w szpitalu...

Poczułem na ustach drewnianą szpatułkę owiniętą zmoczoną watą, chciwie wessałem wilgoć.

– Co... ze mną? – wyszeptałem.

Chłodna dłoń dotknęła mojego czoła, zmiotła pajęczynę otępienia. Tym razem udało mi się unieść powieki, zamrugałem. Jasne włosy opadały falą na ramiona, niebieskie oczy zmrużone były w wyrazie z troskowania. Pielęgniarka.

– Jestem... po operacji? – spytałem. – I gdzie są ci lekarze?

– Nie – odparła. – Przygotowali was do operacji, ale kiedy krwawienie ustało, profesor Naumow zdecydował, że jeszcze poczeka.

– Poczeka? Na co, u licha? I jakie krwawienie?

Wydeła z dezaprobatą nabrzmiące, jakby stworzone do całowania wargi.

– Nie krzyczcie – poprosiła. – Najmniejszy wysiłek może was... może spowodować pogorszenie – poprawiła się szybko. – Kiedy was przywieźli, krwawiliście z nosa i uszu, objawy wskazywały też na krwotok wewnętrzny. Profesor Naumow chciał was otworzyć, czasem inaczej się nie da – wyjaśniła, widząc mój wzrok.

– Miał zamiar pogrzebać we mnie i zobaczyć, co mam w środku? – sapnąłem z niedowierzaniem.

Położyła mi palec na ustach, jej skóra pachniała fiołkami i jodyną.

– Chciał wam pomóc – powiedziała karcąco.

– Krwotok z nosa to jeszcze nie tragedia.

– Ale krwawe wymioty to już powód do niepokoju – zripostowała.

– Brzuch mnie boli, na pewno nikt mnie nie pokroił?

– Nie, to generał Poliakow was uderzył, chciał spowodować torsję. Prawdopodobnie uratował wam życie, bo usunął część trucizny z organizmu.

– Co za trucizna? – wycodziłem przez zęby.

Dopiero teraz przypomniałem sobie noworoczną zabawę. Ira... Ta suczka musiała dodać mi czegoś do szampana! Tylko czego? W jakim jestem stanie?

– Chciałbym porozmawiać z jakimś lekarzem.

– Jest noc, do porannego obchodu jeszcze kilka godzin. Poczekacie.

– Przecież ktoś musi tu dyżurować! Może jednak...

Przerwała mi, znowu kładąc dłoń na ustach, później przejechała po spierzchniętych wargach kłębką wilgotnej waty.

– Doktor Markow śpi po ośmiogodzinnej operacji. Nie obudzę go – oświadczyła stanowczo.

Spojrzałem na nią ze złością, ale nie wyglądała na wystraszoną.

– Wiecie, kim jestem?

– Pułkownikiem milicji, nazywacie się Razumowski – odparła spokojnie.

Uśmiechnęła się, po czym włożyła mi termometr pod pachę.

– Chyba gorączka wam spada, ale wolę sprawdzić – powiedziała.

– Co to za trucizna? – powtórzyłem. – Przed chwilą słyszałem lekarzy rozmawiających przy moim łóżku. Mówili coś po łacinie.

– Mówili – przytaknęła. – Wczoraj, w czasie wieczornego obchodu. Byliście długo nieprzytomni, leżycie tu trzeci dzień.

– Gdzie? Gdzie jestem?

– W Sklifie – odparła krótko.

Odetchnąłem z ulgą, Instytut Pierwszej Pomocy imienia Sklifosowskiego cieszył się dobrą opinią. Może postawią mnie na nogi? Choć nie było to wcale takie pewne, nieważne, jak znakomici lekarze by tu pracowali, ktoś chciał mnie zabić. Ktoś znający się na rzeczy. Jeśli potrafił podesłać babę, która podszyła się pod naszą nową pracownicę, wiedział też, że będą mnie leczyć najlepsi medycy. I odpowiednio się zabezpieczył. Albo spróbuje mnie dobić w szpitalu, albo tak dobrał truciznę, że żaden lekarz mi nie pomoże.

– Ochrona – wymamrotałem. – Jest tu jakaś ochrona?

Pielęgniarka poważnie skinęła głową.

– Pilnują was dzień i noc – potwierdziła. – Dwóch ludzi na korytarzu i jeszcze kilku w budynku i przy drzwiach wejściowych. Nic wam nie grozi.

– Możecie... ze mną posiedzieć?

Ściągnęła brwi, zamyśliła się przez chwilę.

– Tak – powiedziała wreszcie. – A wy spróbujcie zasnąć, jesteście bardzo osłabieni.

– Jak wam na imię?

– Nadieżda.

Przestałem walczyć z opadającymi powiekami, rozluźniłem napięte mimowolnie mięśnie. Nadzieja... Może to dobra wróżba? Zasnąłem, czując dotyk kobiecej dłoni na czole.



Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.

COPYRIGHT © BY Adam Przechrzta
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2019

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-439-1

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Sergei Shikin

PROJEKT OKŁADKI Konrad Kućmiński | Grafficon

ILUSTRACJE Paweł Zaręba

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Katarzyna Pawlik, Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



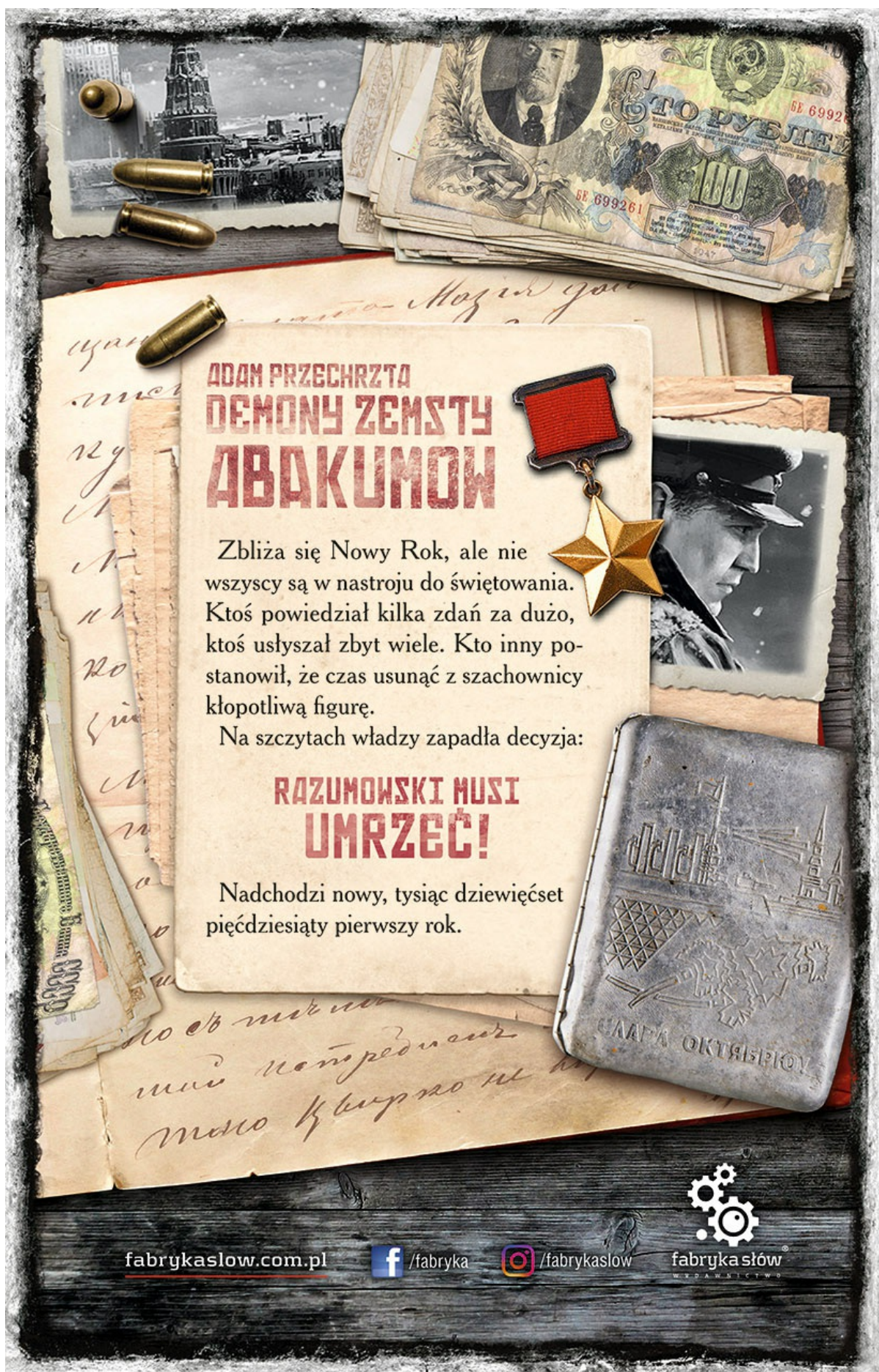
ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)



ADAM PRZECHRZTA DEMONY ZEMSTY ABAKUMOW

Zbliża się Nowy Rok, ale nie wszyscy są w nastroju do świętowania. Ktoś powiedział kilka zdań za dużo, ktoś usłyszał zbyt wiele. Kto inny postanowił, że czas usunąć z szachownicy kłopotliwą figurę.

Na szczytach władzy zapadła decyzja:

RAZUMOWSKI MUSI UMRZEĆ!

Nadchodzi nowy, tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty pierwszy rok.

fabrykaslow.com.pl

 /fabryka

 /fabrykaslow


fabryka słów
WYDAWNICTWO

Spis treści

Karta tytułowa	3
Cykl Wojenny Adama Przechrzty	4
Rozdział pierwszy	6
Karta redakcyjna	19
Okładka	21